

Kronika tygodniowa.

I ani się spostrzeżliśmy, a tu rok 1914., który według przepowiedni pani de Thébes powinien był naprawić to, co poprzednik, mający w ogonie ową fatalną trzynastkę, zepsował, zbliża się ku końcowi, by zrobić miejsce następcy.

Jeśli wierzyć wróżbom natchnionej wieszczki, to dopiero r. 1915. będzie w całym tego słowa znaczenia pomyślnym. Może jednak być zupełnie odwrócone prorocstwo powtarzam na koszt i niebezpieczeństwo autorki, która już co do roku 1914. nieco się pomyliła, zapomniała bowiem zupełnie o zapowiedzianej wojny europejskiej, tak nam się dajacej we znaki.

A że miły był ten roczek, to każdy musi przyznać, zwłaszcza, gdy mu przypomnę, że zaczęliśmy go pod znakiem strejku drukarskiego, a kończymy wśród huku dział, coraz bardziej się ku nam zbliżającym. Nawet c. k. Dyrekcyja Skarbu nie miała odwagi wspomnieć o „pomyślnych koniunkturach“, które pozwoliłyby na energiczniejsze wyciskanie soku podatkowego z c. k. kontrybuentów.

Doczekaliśmy jednak wieczoru wigilijnego, podczas którego, łamiąc się opłatkiem, wymieniamy nawzajem życzenia lepszej przyszłości. Kto wcześniej umarł, ten sam sobie będzie musiał winać.

Kronikarz „Nowości Illustrowanych“, jak zwykle, spieszy też z życzeniami, przyjmując w zamian wszelkie prezenty i to nawet poza godzinami urzędowymi, by w ten sposób dać przykład pilności i gorliwości różnym naszym panom urzędnikom, tak rządowym, jak autonomicznym, którzy powiadają o sobie, że każdy tylko w służbie jest psem, pozatem zaś nic go biuro nie obchodzi. Co do jakości owych podarków świetlnych, na które niecierpliwie oczekuję, to mogą one równie dobrze być w stanie stałym, jak i płynnym, tylko lotny jest wykluczony.

Czego zaś życzyć Czytelnikom?... Naturalnie tego, czego oni sami sobie życzą, w pierwszym więc rzędzie zakończenia wojny i pomyślnego jej wyniku dla naszego oręża, reszta przyjdzie już sama ze siebie... W czasie uczty wigilijnej pamiętajmy o tych, którzy tam w polu, daleko od ogniska domowego, walczą za świętą sprawę, niech więc tegoroczna tradycyjna wieczerza będzie bez zbytek, a pieniądze, które się w ten sposób zaoszczędzi, obróćmy na cele pomocy dla naszych żołnierzy i na wsparcia dla wdów i sierót po poległych.

Pozbyszyszy się pierwszego punktu porządku dziennego, przechodzę zaraz do drugiego, to jest do usprawiedliwienia się, dlaczego kronikarz milczał przez kilka tygodni i złożenia sprawozdania, co w tym czasie robił.

Powodem milczenia był fatalny zbieg okoliczności. Dzięki wojnie i jej następstwom, jak: powołaniu współpracowników pod broń, ograniczeniu ruchu pocztowego i kolejowego i tym podobnych, skazani zostaliśmy na przymusowy urlop, z którego korzystając, każdy wieszcz oddał lutni do odlakierowania, a Pegaza, o ile go nie zabrano do furzewców, kazał kuć na nowo. Nastąpiło więc bezrobocie, interesy robiły tylko pisma codzienne, zasypując miasto niezliczoną masą nadzwyczajnych dodatków, z których jednak bardzo wiele nie zawierało nic tak nadzwyczajnego.

Kronikarz, korzystając ze stosownej chwili, postanowił tedy wywiązać się z danej Czytelnikom ongiś obietnicy i udać się na plac boju, zwłaszcza, że mając wolną kartę tramwajową, tanio i łatwo tam się można dostać. Należy tylko pojechać na Zwierzyniec i potem wyjść na drogę, wiodącą w stronę kopca Kościuszki i już jest się na miejscu.

Tutaj zastałem już przedstawicieli, t. j. korespondentów wojennych, trzech najważniejszych dzienników krakowskich. Przy pomocy lornet polowych badali okolicę, skąd zdala dochodził głuchy huk armat.

— Kolega widzi co?... — pyta jeden.

— Nie! A kolega? — brzmi odpowiedź,

— Zupełnie to samo!... Powiadam koledze, palnę taką impresję na ten temat, że świat się zadziwi... Sto pięćdziesiąt wierszy po pięć halerzy... Będą na święta rybki... O, ten huk to z grubej Berty...

— Skądże znowu!... Tu Berty niema, to gruby wujek... Dajmy jednak temu spokój. Szkoda wyciągać wzrok i słuch, ot, lepiej siadźmy tutaj i zróbmy sobie taroczkę. Jest nas akurat trzech, a ja mam karty w kieszeni...

— Bardzo żałuję, ale ja nie grywam w karty!

— Co?... Kolega niemuzykalny?... No, proszę i toby to był powiedział. Wszak kolega jest referentem spraw artystycznych?...

— To i cóż z tego? Co tarok ma z tem współ-

nego? Zresztą można być czegoś referentem i nie znać się na tem... Wszak to krakowski zwyczaj, że n. p. weterynarz mówi o sztuce, aptekarz o polityce, polityk o astronomii, a każdemu z nich zdaje się, że jest rzeczywiście wyrocznią w tym względzie... U nas miałyby być inaczej?... Skoro jednak nie można zebrać partyi, chodźmy na czarną do Esplanady, tam się człowiek dowie czegoś nowego... Będą telegramy na własnym drucie...

I poszli, a ja zostałem i patrzyłem tu i tam, nic jednak nie widziałem, choć posługiwałem się lornetką, przez którą podobno Napoleon patrzył na pożar Moskwy. Stara ona i ślepa już na jedno oko, ale pełni jeszcze swą służbę, ma zaś tę dobrą stronę, że nawet Aron Gajer jej nie kupi.

— Co mi po takim gracie? — powiada, ilekroć mu ją pokażę.

— To antyk! — staram mu się wytłumaczyć.

— Niech sobie bedź Wojtek, czy Antek, ja nie kupim, bo ja, z przeproszeniem pańskiej osoby, w takie interesy nie robię!

— Tylko?

— Głównie w garderobę! Może pan dobrodziej ma jakie stare przechodzone spodnie, albo coś z marynarki?...

— Mam — zawołałem z tryumfem — łódź podwodną!

— Dobrze! Ja kupim! — odparł z godnością, spoglądając pod łóżko. Sądził zapewne, że tam jest ukryta.

Żal mi się zrobiło pocziwego Arona, który nie raz ratował mnie z finansowej opresji krótkoterminowymi pożyczkami, dałem też spokój żartom, postanawiając natomiast wyciągnąć go na spytaki i dowiedzieć się, z jakiej platformy zapatrują się obywatele, dotąd niewywakuowani z Kazimierza i Stradomia, na kwestyę bomby przy ulicy Jasnej.

Bo, że muszą się zapatrywać, to rzecz jasna. Tego rodzaju interwiew, choć spóźniony, powinien mieć nawet wartość historyczną.

Gdy postawiłem odnośne pytanie, pan Aron najpierw splunął a potem rzekł:

— Nima pan dobrodziej jakie niepotrzebne cygaro?

— I owszem! — odparłem, podając mu ostatnie „krótkie“, nazywane przezemnie poetycznie: „Flor de Krowodrza“.

Zapalił, puścił sobie kilka dymków w tą i ową stronę i tak mówił:

— Pan myśli, że to była bomba? To pan całkiem źle myśli... To była eksplozja od te kłozety i inne z przeproszeniem porcelanowe interesy, które tam leżały sobie na strychu. Bombe nie byłaby takie głupie, żeby tam leciała... Ale i tak nasze Izraelity potrzebowały się przestraszyć i tego samego dnia wywakuowało się do Wiednia przeszło pięćset osób, między nimi aż siedemnaście same mecenasy od naszy wiary...

— Ja jednak jestem pewny, że to była bomba, ciekawy tylko jestem, kto ją mógł rzucić.

— Niech si pan śmieje z tego. Aron wie, co mówi! Zresztą, niech pan sobi przeczyta „Poniedziałkową gazetę“ z tamtego tygodnia. Tam był jeden redaktor i on to opisał całkiem fajnie, akurat, jakby był na miejscu w chwili wybuchu...

Zagalopowałem się, widzę, zbyt z panem Aronem, a obaj szybko nie lubimy chodzić (starość nie radość... przyp. zecera), trzeba wracać na pole walki, to jest na owo zbrocze Sikornika, gdzie zostawiłem Szanownych Czytelników.

Ponieważ, jak wyżej wspomniałem, nie widziałem nic, wracałem powoli i ja do miasta, nic sobie przecię z tego nie robiąc, wiadomo bowiem każdemu, nawet takiemu, który ma katar i nigdy prochu nie wachał, że nowoczesna wojna tem się właśnie odznacza, że nic nie widać, gdyż armie operujące lokują się w tak zwanych „dekungach“. Jak to wygląda, wyobrażam sobie, przybywszy też do domu palnąłem impresję o okropnościach wojny, jako sprawozdanie naoczego świadka, nadesłane na „własnym drucie“ (...chyba z parasola... przypisek zecera, który stał się nowoczesnym Tomaszem i ani rusz nie chce uwierzyć, choć kłamię się na brodę Mahometa, iż wszystko to widziałem na swoje najwłaśniejsze oczy).

Impresja ta miała być pomieszczoną w jednym z tych numerów, które z wyżej wyłuszczonych powodów nie wyszły i dlatego dotąd nie ujrzała światła dziennego. Ale, co się odwlecze, to nie uciesze! Lepiej nawet, iż stanie się to później, dziś mogłoby przejść bez należytego wrażenia, gdyż każdy, choć nawet nie polityk, ma głowę nabitą grubymi Bertami, takimiż wujaszkami i innymi okropnościami nowoczesnej techniki wojennej.

Bardziej natomiast zmartwiło mnie ogłoszenie, iż mieszkańcy miasta Krakowa mają się wstrzymać od jedzenia nagromadzonych zapasów, które należy

jeszcze dalej uzupełniać, by zawsze mogły wystarczyć na pełne trzy miesiące.

Gdybym był wiedział o tem wcześniej, byłbym się do tego zastosował, niestety, posłuszny rozkazowi, ogłoszonemu przez byłego komisarza rządowego, zacząłem już z tego i owego woreczka próbować. Teraz trzeba to będzie uzupełnić, a przyjdzie mi z trudnością, drożyzna bowiem z dnia na dzień coraz większa. Doszło do tego, że jasko według taryfy maksymalnej kosztuje już czternaście halerzy, co nasze kurki wbiło w taką dumę, iż zastrejkowały i nie chcą pracować dla aprowizacji wygłodniałych obywateli miasta Krakowa.

Jedzenia mamy więc mało, różnego rodzaju ogłoszeń natomiast taką masę, iż człowiek traci po prostu głowę, czytając jedno po drugim. Gdyby ktoś zebrał wszystkie z tego okresu, miałyby wcale pokaźną biblioteczkę. Nie mając potem co jeść, mógłby się nasycić samem ich odczytywaniem.

W tym samym okresie mieliśmy także chwilową zmianę formy rządów stołecznego miasta Krakowa. Po Juliuszu pierwszym wstąpił na tron Julian pierwszy, jako komisarz rządowy, niedługo jednak kierował autonomiczną nawą, według bowiem statutu miejskiego rządu miasta po rozwiązaniu Rady przechodzą na prezydium, które ma funkcjonować aż do następnego wyboru.

Zapełniono więc na prędce luki prezydialne i otrzymaliśmy zespół, złożony aż z czterech profesorów uniwersytetu, w którym medycyna zajmuje dwa fotele, prawo i filozofia muszą się kontentować tylko po jednym. Jedynie teologia nie ma w prezydium swego przedstawiciela, co bardzo boleśnie dotknęło krakowskie dewotki, zapowiadające wobec tego rychły koniec świata.

Ja, sparzywszy się już poprzednio na prorocztwach pani de Thébes, nie wierzę teraz nikomu, a już najmniej niewiastom, które zwykle lubią mówić albo zawiele, albo przynajmniej nie w porę.

Wogóle, z powodu wojny, która jakoś nie okazuje wcale chęci rychłego zakończenia, wszystko u nas idzie na opak. Nawet pogodę mamy wcale nie zimową, choć już Boże Narodzenie za pasem. Ale to zresztą i lepiej, skoro futra nie można wykupić z lombardu, gdyż nasze instytucje finansowe zawiesiły na razie swe czynności. Nawet czarna giełda nie urzęduje, jednym na pociechę, drugim na zmartwienie. Ja czasem należę do pierwszych, czasem do drugich, zwłaszcza, gdy skonstatuję w kieszeni swej pustkę.

Moratorium ma swoje dobre strony, ale ma i tragiczne!

Najprzyjemniejszą lekturę stanowi dla mnie w tym czasie odczytywanie ogłoszeń o poszukiwaniu zaginionych, przekonałem się z nich bowiem, że w społeczeństwie naszym nie wygasło jeszcze uczucie. Twierdzenie swe opieram na tej okoliczności, iż w czterech już wypadkach znalazłem wzmiankę, że zięć zapytuje o adres swej teściowej. Jeden ze znajomych jest zdania, iż czyni to dlatego, by tam przypadkowo nie wrócić, ja sądzę zupełnie inaczej.

Który z nas ma rację, raczą same P. T. Teściowie rozstrzygnąć, ja zgadzam się na ten sąd... Salomonowy.

Przeciw mej teorii przemawiałoby odezwanie się innego z mych znajomych, który, czytając w gazecie wzmiankę, iż Moskałe, zapewne na pamiątkę swego pobytu, wywożą z Galicji Wschodniej różne starożytności, aż podskoczył z radości.

— I ciebie to cieszy? — zapytałem.

— Naturalnie! — odpowiedział. — Zostawiłem we Lwowie dwie teściowe, jak wiesz bowiem, ożeniłem się niedawno po raz drugi. Jedna starsza, niż druga... Może choć w ten sposób będę się ich mógł pozbyć...

Być może, że znów zarzuci mi ktoś z P. T. Czytelników, iż nie poruszam wcale ważnych zdarzeń politycznych, czynię to jednak z tego powodu, iż każdy z nas jest dziś politykiem, wyrobił sobie własną swą orientację, a czytając zapatrywania innych, gniewa się na nie i woła:

— A to, panie łaskawy, osioł! Jak on sobie to tłumaczy?...

Ja zaś nie chciałbym nawet i w ten niewinny sposób zrywać dobrych stosunków, jakie mnie łączą z mymi Czytelnikami, którzy niech będą przekonani, iż przez całe Święta tylko o nich będę myślał!...

Zwracam nadto uwagę wszystkich razem i każdego z osobna, aby w czasie świątecznym baczyli pilnie na swe zdrowie, gdyż medykamenty wszelakie, zwłaszcza zaś olej rycynowy, ogromnie podrożały, a sposobności będzie dość do zepsucia sobie żołądka!

